

## **Poul Anderson**

### **Ostatni wybawcy ludzkości**

*O karierze Poula Andersona pisałem już kilka razy w tej serii. Teraz trzeba powiedzieć, że stale rośnie jego sława, ciągle tworzy cudowną fantastykę naukową i coraz więcej równie cudownych utworów fantazy.*

*Opowiadanie „Ostatni wybawcy ludzkości” ukazuje przyszły, zdecentralizowany system polityczny, gdzie żadna urzędowa ideologia nie jest konieczna, ale niektóre ludzkie istoty trzymają się kurczowo starych przekonań. Poul zdołał fanatyzm i krańcowa samotność tych ludzi uchwycić z umiejętnością i wyczuciem, które przenikają całe jego opowiadanie.*

*(Martin H. Greenberg)*

*Katherine MacLeans w opowiadaniu pt. „Nieludzkie poświęcenie”, pomieszczonym w niniejszym tomie, porusza zagadnienie misji w religijnym znaczeniu tego słowa.*

*Nie wszyscy jednak misjonarze zajmują się rozpowszechnianiem religijnych prawd lub tego, co za nie uważają.*

*Każdy człowiek wierzy w coś, co nie poddaje się racjonalnym badaniom. Przykładowo, moją idee fix stanowi to, że świat byłby przyjemniejszym i bardziej czystym miejscem, gdyby w jakimś danym roku drużyna baseballowa „New York Mets” zdobyła tytuł, a potem Puchar Świata.*

*Żadna liczba oznak, że w danym roku „Mets” nie mogą osiągnąć tych zwycięstw, nie zachwiałyby moim przekonaniem. Żadne racjonalne przesłanki, że nie ma to znaczenia, która drużyna baseballowa zwycięży w jakimś roku, oraz że sytuacja, w której każda drużyna wygrywałaby czasami, jest faktycznie lepsza dla baseballu jako całości, nie wyperswaduje mi moich poglądów.*

*Takie irracjonalizmy, dopóki dotyczą baseballu lub innych podobnie banalnych rzeczy (och, wybacz mi, potężny duchu, Babe Ruth), nie wyrządzają tak naprawdę szkody. Mogą nawet pomóc w rozładowaniu mojej, z natury, wojowniczej i skorej do bójki osobowości w nieszkodliwych potyczkach.*

*Ale istnieją polityczne i ekonomiczne wierzenia, które posiadają siłę prawie religijnego fanatyzmu i które mogą wywoływać niebezpieczne konflikty pomimo, wydawałoby się, braku powodu. Satyra Poula Andersona to właśnie przedstawia. (Oczywiście, Poul jest liberałem, i któregoś dnia mogę go za to walnąć pięścią w nos, mimo że bardzo go lubię.)*

*(Isaac Asimov)*

Gdy byłem mały (nie skończyłem jeszcze dziewięciu lat), w naszym miasteczku mieszkał stary człowiek, którego ludzie nazywali szaleńcem. Miał prawie sto lat i nie posiadał rodziny. W tamtych czasach w każdym mieście byli ludzie, którzy nie mieli żadnych krewnych.

Wujaszek Jim był nieszkodliwy, a nawet użyteczny. Chciał pracować i załatać chociaż kilka butów. Jego warsztat był zawsze czysty i schludny. Kiedy stanąłeś tam wśród zapachu skóry i oliwy, mogłeś z tyłu, za warsztatem, zobaczyć jego mieszkanie. Nie miał wielu książek, ale półka za półką załadowane były wysokimi, błyszczącymi stosami papierów zawiniętych w plastik, pożółkły już ze starości i zgrzybiały jak ich właściciel. Nazywał je swoimi magazynami. Jeżeli my, dzieci, zachowywałyśmy się grzecznie, czasem pozwalał nam popatrzeć na obrazki w środku. Po jego śmierci miałem okazję przeczytać teksty. Były zupełnie pozbawione sensu. Nikt nie obawiałby się rzeczy, które ludzi z tych opowiadań i artykułów ogromnie niepokoiły. Miał także wielki, antyczny telewizor. Zastanawiające było to, dlaczego przechowywał go, skoro nic nie mógł na nim odbierać z wyjątkiem ogłoszeń, a miasto miało przecież doskonały odbiornik. Naprawdę, nie wiem. No, dobrze, był szalony.

Każdego ranka spacerował w dół Main Street. Większość drzew, rosnących wzdłuż tej ulicy, stanowiły wiązy, wysokie i zacinające latem drogę. Tylko czasem złoty promyk słońca przedarł się przez listowie. Wujaszek Jim odziewał zawsze swe długie, sztywne ciało w starożytne, bez mała, ubranie. Nieważne było, czy dzień był upalny, a w Ohio może być bardzo gorąco. Bez wątplenia cień, który dawały drzewa, był powodem takiej trasy spaceru. Wujaszek nosił wystrzępione białe koszule z wytartymi kołnierzykami, pasek materiału zawiązany wokół szyi, długie spodnie, coś w rodzaju niezgrabnej marynarki i ciasne buty, które uwierały go w stopy. Widok był żałosny. My jako dzieci byliśmy młodzi i okrutni. Ponieważ nigdy nie widzieliśmy go bez ubrania, myśleliśmy, że musi ukrywać jakąś okropną deformację ciała i nagabywaliśmy go o to bez przerwy. Jim nigdy nie wykorzystał naszych wybryków przeciw nam. Właściwie to zwykle dawał nam cukierki, które sam robił, dopóki nie wmieszał się dentysta. Potem wysłuchaliśmy przemowy naszych rodziców i dowiedzieliśmy się, że cukier niszczy zęby.

W końcu zdecydowaliśmy, że Wujaszek Jim (tak go nazywaliśmy bez uściślenia, czy jest czymkolwiek wujkiem, gdyż w rzeczywistości nie był niczym) nosi te wszystkie rzeczy jako swego rodzaju tło dla guzika z napisem „Zwycięstwo dla Willarda”. Pewnego razu zapytałem go o to i dowiedziałem się, że Willard był ostatnim republikańskim prezydentem Stanów Zjednoczonych i wielkim człowiekiem, który próbował powstrzymać nieszczęście. Było już jednak za późno, gdyż ludzie pograżyli się zbyt głęboko w gnuśności i dekadencji. Zbyt trudne było to do pojęcia dziewięcioletniego chłopca i do dziś jeszcze tego tak naprawdę nie rozumiem, z jednym wyjątkiem. Wiem, że wtedy miasta nie rządziły się same, a mieszkańcy kraju podzieleni byli na dwie wielkie grupy, które nawet nie były klanami, ale które bardziej lub mniej wpływały na wybór prezydenta. Nie był on rozjemcą pomiędzy miastami czy stanami, ale

trzymał w garści wszystko.

Wujaszek Jim zwykle szedł w dół Main Street obok Ratusza i elektrowni słonecznej, potem skręcał obok fontanny, przechodził obok domu Conrada, stryjecznego dziadka mojego ojca, i dalej aż do krańców miasta, gdzie rozciągały się pola i łąki. Przy porcie lotniczym skręcał i wracał obok Josepha Anakeliana, gdzie zawsze rzucał okiem na ręczne krosna i szydząc z nich, opowiadał o automatycznej maszynerii. Ciekawe, co miał przeciwko ręcznemu tkaniu?

Nie wiem, bo przecież tkalnia Josepha była sławna. Wujaszek robił także zgryźliwe uwagi na temat naszego małego lotniska i pół tuzina miejskich fruwaczy. To nie było w porządku. Mieliśmy autostrady i wystarczająco wiele fruwaczy na potrzeby naszych dłuższych podróży. Nigdy nie zdarzyło się, by więcej niż sześć grup podróżnych wyjeżdżało gdzieś jednocześnie z miasteczka tej wielkości co nasze.

Ale chciałem powiedzieć o Komuniście.

To było wiosną. Śnieg roztopił się i ziemia zaczęła przesycać, a nasi farmerzy wyszli siał. Reszta ludzi z naszego miasteczka krzątała się wokół przygotowań do fety, gotując i piekąc. Och, co za zapachy unosiły się w powietrzu. Kobiety wymieniały przepisy kulinarne, rzemieślnicy stukali młotkami, szyli i spawali. Sznury do prania obwieszane były świątecznymi ubraniami wyciągniętymi z zimowych skrzyń, zakochani trzymali się za ręce i szeptali o nadchodzących uroczystościach. Red, Bob, Śmierdziel i ja graliśmy w kulki obok lotniska. Dawniej rzucaliśmy nożami do celu, ale jakieś dzieci kaleczyły nimi drzewa i starsi ustanowili przepis, że żadne dziecko nie może nosić noża, dopóki nie dorośnie.

Był ciepły i przyjemny poranek. Niebo było niebieskie, prawie lazurowe, a słońce przeświecało przez puszyste białe obłoki i padało prosto na ziemię. Wzgórza pokryte były pierwszą bladą jeszcze zielenią. Pył unosił się z miejsc, gdzie padały nasze kulki. Lekki wietrzyk wiał z południa, delikatnie dotykając mojej skóry i rozwiewając mi włosy. Świat, pora roku i my byliśmy młodzi.

Zamierzaliśmy właśnie skończyć zabawę, wziąć nasze strzelby i iść do lasu, by zapolować na króliki. Wtedy właśnie zobaczyliśmy Wujaszka Jima i kuzyna mojej matki, Andy'ego. Wujaszek założył długi płaszcz na swoje zwykłe ubranie, a mimo to drżał ciągle, pochylony nad laską. Pomarszczone dłonie miał sine z zimna. Andy nosił kilt i sandały. Był naszym miejskim inżynierem, krępy męzczyzną około czterdziestki.

W prehistorycznych czasach, przed moim przyjściem na świat, brał udział w ekspedycji na Marsa i to uczyniło go bohaterem w oczach nas – dzieci. Nigdy nie zrozumieliśmy, dlaczego nie został zuchwałym korsarzem. Miał co najmniej trzy tysiące książek, dwa razy więcej niż średnio każdy w naszym miasteczku. Spędzał dużo czasu z Wujaszkiem Jimem i właściwie nie wiedziałem dlaczego. Teraz sądzę, że próbował dowiedzieć się od niego czegoś o przeszłości. Nie o martwej, zmumifikowanej w historycznych książkach, ale o ludziach, którzy kiedyś byli

żywi.

Stary człowiek spojrział na nas i powiedział:

– Wy, chłopcy, nie ubieracie się zbyt ciepło. Możecie nabawić się śmiertelnego przeziębienia.

Głos miał wysoki i piskliwy, ale mocny. Po wielu latach samotnego życia musiał nauczyć się, jak dbać o siebie.

– Ech, bzdury – powiedział Andy. – Założę się, że w słońcu jest ze szesnaście stopni.

– Mieliliśmy iść na króliki – powiedziałem poważnie. – Przyniosę swojego do ciebie i twoja żona może zrobić nam z niego potrawkę.

Jak wszystkie dzieci, spędzałem tak wiele czasu z krewnymi, jak tylko pozwalali moi przybrani rodzice, ale najbardziej lubiłem rodzinę Andy’ego. Jego żona była wspaniałą kucharką, jego starszy syn był najlepszy ze wszystkich w grze na gitarze, a córka grała w szachy prawie tak szybko jak ja, jednak ani zbyt dobrze, ani zbyt źle, jak na mój gust.

Wygrałem większość kulek, a teraz zwróciłem je z powrotem.

– Kiedy byłem chłopcem – powiedział Wujaszek Jim – wygraną zatrzymywaliśmy na własność.

– A co się stało, gdy najlepszy wziął wszystkie kulki w mieście? – spytał Śmierdziel. – To bardzo trudno zrobić dobrą kulkę, Wujaszku. Nie mógłbym się wymienić, gdybym stracił wszystkie.

– Mógłbyś kupić więcej – odparł Wujaszek – bo były sklepy, gdzie można było dostać wszystko.

– Ale kto wyrabia te kulki?

– Były wytwórnie.

Wyobraźcie sobie wielkich, dorosłych mężczyzn, którzy spędzali czas na wyrabianiu kolorowych szklanych kulek!

Już prawie odchodziliśmy, gdy pojawił się Komunistą. Ujrzeliśmy go, kiedy okrążał kępę drzew w północnej ćwiartce, gdzie w zeszłym roku znajdowało się pastwisko. Szedł ulicą Middleton, a kurz unosił się spod jego gołych stóp.

Obcy w mieście jest zawsze wielką sensacją. My, dzieciaki, zaczęliśmy biec mu na spotkanie, ale Andy zatrzymał nas ostrymi słowami i przypomniał, że powinniśmy zachowywać się z właściwą uprzejmością. No to poczekaliśmy wytrzeszczając oczy, dopóki nie podszedł do nas. Był jakiś dziwnie zabiedzony. Był wysoki jak Wujaszek Jim, ale jego peleryna zwisała w strzępach wokół zapadniętej klatki piersiowej, w której mogłeś policzyć zębra. Był zupełnie łysy, tylko brudnobiała broda sięgała mu do pasa. Szedł ciężko, podpierając się kijem.

Andy zrobił krok naprzód i skinął głową.

– Pozdrawiamy i witamy, Wolnourodzony – powiedział. – Jestem Andrew Jackson Welles,

miejski inżynier, i w imieniu mieszkańców proszę cię, abyś został, odpoczął i pokrzepił się.

Nigdy nie wypowiedziałby takich słów do kogoś, kogo znał, a zrobił to z wielkim szacunkiem. Potem Wujaszek Jim posłał obcemu uśmiech, który był jak odwilż po dziewięcioletniej zimie. Uśmiechnął się, gdyż tamten człowiek był tak stary jak on sam i urodził się w tym samym, zapomnianym świecie. Zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

– Witam pana. Nazywam się Robbins. Miło pana spotkać – powiedział.

– Dziękuję, towarzyszu Welles, towarzyszu Robbins – powiedział obcy. Jego uśmiech zagubił się gdzieś w plataninie jego długich brudno-białych bokobrodów.

– Jestem Harry Miller.

– Towarzyszu! – Wujaszek Jim wypowiedział to słowo powoli i jednocześnie szybko cofnął dłoń. – Co chciałeś przez to powiedzieć?

Włóczęga zeszytniał i spojrzał na nas w sposób, który mnie przeraził.

Znaczy to, co powiedziałem – odparł dumnie. – Jestem Harry Miller z Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych Ameryki!

Wujaszek Jim westchnął głośno.

– Ale... ale sądziłem... przypuszczałem... myślałem, że wszystkie te szczury wymarły – wyjąkał.

– Teraz przestań gadać – powiedział Andy. – Wybacz, Wolnourodzony. Nasz przyjaciel nie jest, hmm, nie jest całkiem sobą. Błagam, nie bierz tego do siebie.

Zawziętość zabrzmiała w głosie Millera.

– O, nie myślałem tak. Byłem nazywany gorzej niż przed chwilą.

– I zasługiwałeś na to!

Nigdy wcześniej nie widziałem rozzłoszczonego Wujaszka Jima. Twarz mu poczerwieniała i cisnął łaską o ziemię.

– Andy, ten... ten człowiek jest zdrajcą! Słyszysz mnie? Jest obcym agentem!

– Myślisz, że przyszedł prosto z Rosji? – zamruczał Andy.

My, chłopcy, skupiliśmy się w pobliżu, nadstawiając uszu. Przybysz stanowił niespotykany widok.

– Nie – powiedział Miller. – Nie. Jestem z Pittsburgha. Nigdy nie byłem w Rosji i nigdy nie chciałbym tam trafić. To zbyt okropne. Oni mieli kiedyś socjalizm.

– Nic nam nie wiadomo, żeby ktoś pozostał w Pittsburghu – zauważył Andy. – Byłem tam w ubiegłym roku z ekipą ratowniczą po stal i miedź. Nie widzieliśmy niczego oprócz ptaków.

– Dwoje. Dwoje nas zostało. Moja żona i ja. Ale ona umarła i nie mogłem wytrzymać w tym pustym, zniszczonym mieście, więc ruszyłem w drogę.

– I możesz z powrotem tam wrócić – burknął Wujaszek Jim.

– Proszę, bądź cicho! – odezwał się Andy. – Chodźmy do miasta, Wolnourodzony Miller.

Towarzyszu Miller, jeśli wolisz. Czy mogę prosić cię, byś zatrzymał się w moim domu?

Wujaszek Jim schwycił go za ramię. Trząsał się jak uschnięty liść na bezlitosnym, jesiennym wietrze.

– Nie możesz! – wrzasnął. – Czy nie rozumiesz? Zatruje nasze umysły, obali ciebie, staniemy się niewolnikami jego i jego zgrai bandytów!

– To wygląda jakbyś to ty miał troszeczkę zatruty umysł, panie Robbins – powiedział Miller.

Wujaszek Jim zastygł na chwilę w bezruchu, pochylił głowę ku ziemi i gorzkie łzy wypełniły oczy starego człowieka. Potem podniósł głowę i duma zabrzmiała w jego słowach:

– Jestem Republikaninem.

– Tak myślałem. – Komunista zerknął wokoło i w zamyśleniu pokiwał głową. – Typowa burżuazyjna pseudokultura. Patrzcie na tych ludzi: każdy na swym własnym traktorku, na własnym poletku ściska swój własny malutki egoizm.

Andy podrapał się w głowę.

– O czym ty mówisz, Wolnourodzony? – spytał. – To miejskie maszyny. Kto by chciał utrzymywać własny traktor, pług i żniwiarkę?

– Och!... mówisz, że...

Dostrzegłem błysk zaskoczenia w oczach Komunisty. Rozwarł powoli swe ręce. To były wielkie dłonie! Tuż pod wysuszoną skórą widziałem kości.

– Mówisz, że uprawiają ziemię kolektywnie?

– Ależ nie, dlaczego. Cóż mogłoby być tego powodem? – odpowiedział Andy. – Ludzie mają prawo do tego, co sami wyhodują, czyż nie?

– A ziemia, która powinna być własnością wszystkich ludzi, jest podzielona pomiędzy tych kułaków – wybuchnął Miller.

– Jak, do diabła, ziemia może być czyjąkolwiek własnością? To jest... to jest ziemia. Nie możesz włożyć sobie czterystu hektarów do kieszeni i odejść z nimi. – Andy wziął głęboki oddech. – Musiałeś być całkiem odcięty od świata w tym Pittsburghu. Zjadałeś jakieś starożytne puszkowane paskudztwo, tak? Myślę, że tak. To wystarczy za wyjaśnienia. Popatrz, ten tam kawałek jest zasiany kukurydzą przez Glenna, kuzyna mojej matki. To jego kukurydza, którą wymieni na cokolwiek, czego będzie potrzebował. Ale w przyszłym roku, aby użyźnić glebę, zostanie tam zasiana lucerna, a syn mojej siostry, Willy, będzie ją uprawiał. Co do ogrodowych warzyw i owoców, to większość z nas ma swój własny ogródek, gdzie codziennie wypoczywa na świeżym powietrzu.

Nasz gość jakby przygaśł.

– To nie ma sensu – powiedział. Można było zauważyć, jak bardzo jest zmęczony. Marsz z Pittsburgha musiał być długi. Miller żywił się pewnie tym, co dostał od Cyganów i samotnych farmerów.

– Zgadzam się całkowicie – odezwał się Wujaszek Jim z czymś w rodzaju wymuszonego uśmiechu na ustach. – W czasach mojego ojca... – zaczął i po chwili umilkł.

Wiedziałem, że jego ojciec zginął w czasie jakiejś wojny koreańskiej, kiedy on sam był jeszcze dzieckiem. Wujaszek pamiętał o tym zawsze i był w jakiś sposób dumny z tej śmierci. Ja pamiętałem inną wersję historii, której nauczał w naszym miasteczku Wolnourodzony Levinsohn. On wiedział najlepiej. Gęsia skórka pokryła mi całe ciało. Komuniści! Dlaczego zabijali i torturowali Amerykanów?... Ten Komunistą był tylko wynędzniałym strzępem człowieka, który nie potrafiłby zabić muchy. To było bardzo dziwne.

Ruszyliśmy w stronę ratusza. Ludzie zobaczyli nas i zaczęli gromadzić się wokół, przyglądając się i szepcząc na ile tylko pozwalała przyzwoitość. Kroczyłem dumny z Redem, Bobem i Śmierdzielem po prawej stronie obcego, prawdziwego, żywego Komunisty, czując na sobie spojrzenia innych dzieci.

Przeszliśmy obok tkalni Josepha. Jego rodzina i uczniowie wyszli, by dołączyć do gapiów. Miller splunął na ulicę.

– Wyobrażam sobie, że ci ludzie są robotnikami najemnymi – powiedział.

– Nie możesz wymagać od nich pracy za darmo, prawda? – spytał Andy.

– Powinni pracować dla ogólnego dobra.

– Robią to. Ile razy ktoś potrzebuje cieplej odzieży czy koca, Joseph zbiera swych chłopaków i wykonują to. Możesz u niego kupić towar lepszy od tego, który większość kobiet potrafi zrobić w domu.

– Znam. To burżuazyjny wyzysk – odparł.

– Chciałbym, żeby tak było – powiedział Wujaszek Jim przez zaciśnięte zęby.

– Chciałbyś – zakpił Miller.

– Ale nie jest. Nie ma dziś żadnej przedsiębiorczości. Żadnego ducha współzawodnictwa, żadnych chęci do podnoszenia swego życiowego standardu, żadnego... Ludzie kupują, co im potrzeba, i noszą, dopóki się nie zniszczy, a to znaczy, że prawie na zawsze.

Wujaszek machnął swą laską w powietrzu.

– Mówię ci, Andy, kraj zmierza do unicestwienia. Gospodarka jest w zastoju. Interes stał się skupiskiem niewiarygodnie małych sklepików i ludzi wytwarzających dla siebie to, co dawniej kupowali!

– Myślę, że mamy całkiem dobrą żywność, ubrania i domy – odpowiedział Andy.

– A gdzie twój... twój postęp? Gdzie jest przedsiębiorczość, która uczyniła Amerykę wielką? Popatrz, twoja żona nosi taką samą suknię,

w jaką ubierała się jej matka. Używasz fruwacza, który był zbudowany w czasach twojego ojca. Nie chcesz nic lepszego?

– Nasze maszyny pracują wystarczająco dobrze. – Andy powiedział to ze znużeniem

w głosie. To były jego stare argumenty, podczas gdy Komunisty były czymś nowym.

Dojrzałem zniszczoną pelerynę Millera, który skręcał do sklepu stolarza Si Johansena, i poszedłem za nim. Si właśnie robił komodę dla George'a Hulme'a, który ożenił się tej wiosny. Odłożył narzędzia i niezbyt grzecznie odpowiadał Millerowi:

– Tak... tak, Wolnourodzony. Pewnie, że pracuję tutaj. Organizacja socjalna? Po co? O tym myślisz? Ale moi uczniowie mają wystarczająco dobre warunki do pracy. Co trzy dni, wolne, cholera. Nie, nie są gnębieni. Do diabła, przecież to moi krewni! Ale tutaj nie ma żadnego człowieka, który nie miałby dobrych mebli. Chyba, że jest wszawym stolarzem i zbyt zarozumiałym, by pomóc innym.

– A ludzie na całym świecie – wrzasnął Miller. – Nie masz odrobiny serca, człowieku? Co z meksykańskimi peonami?

Si Johansen wzruszył ramionami.

– Co z nimi? Jeżeli chcą żyć tam u siebie w inny sposób, to ich sprawa.

Odłożył elektryczną szlifierkę i krzyknął do swoich uczniów, że przez resztę dnia mogą odpoczywać. Mogli to i tak zrobić, ale Si był odrobinę apodyktyczny.

Andy wyciągnął Millera z powrotem na ulicę. W ratuszu przyjął ich burmistrz, który wrócił właśnie z pola. Ponieważ została przepowiedziana dobra pogoda na cały tydzień, zdecydowaliśmy, że nie ma się co śpieszyć z zasiewami i spędzimy popołudnie witając naszego gościa.

– Banda nierobów – prychnął Wujaszek Jim. – Wasi przodkowie zostawali przy pracy, dopóki jej nie skończyli.

– Zostanie skończona na czas – powiedział łagodnie burmistrz, jakby tłumaczył dziecku. – Po co ten pośpiech?

– Pośpiech? Zająć się czymś, skończyć i zacząć coś innego. Tak należy robić, żeby lepiej żyć.

– Dla zysku twoich wyzyskiwaczy? – zapytał z ironią Miller. Stał na schodach ratusza i wyglądał jak zagłodzony, rozzłoszczony kogut.

– Kto to jest wyzyskiwacz? – Burmistrz był równie zakłopotany jak ja.

– No... wielki biznesmen... no...

– Tutaj nie ma ani jednego biznesmena – powiedział Wujaszek Jim. Gdy to mówił, jego twarz ożywiła się nieco.

– Nasi sklepikarze? Nie. Oni tylko chcą zarobić na życie. Oni nigdy nawet nie słyszeli o zysku. Są zbyt leniwi, by się rozwijać.

– Więc dlaczego nie macie socjalizmu? – Miller rozglądał się wokoło, jakby szukając jakiegoś ukrytego wroga.

– Każda rodzina dla siebie. A gdzie wasza solidarność?



– Żyjemy zgodnie między sobą, Wolnourodzony – powiedział burmistrz – i mamy sądy, by rozstrzygały każdy spór.

– Ale nie chcecie iść naprzód, rozwijać się, iść...

– Nam wystarczy – przerwał burmistrz, klepiąc się po brzuchu. – Nie mogę zjeść więcej niż jem.

– Ale możesz ubierać się lepiej! – krzyknął Wujaszek Jim.

Biedny, szalony człowiek wskoczył na schody i zatańczył nam przed oczami jak kukielka w objazdowym teatryku.

– Mógłbyś mieć własny samochód, co roku nowy model z pięknymi, chromowanymi blachami, i nowe maszyny, by ułatwić sobie pracę, i...

– I kupując te szmaty, mam na myśli ubranie, sprzedałbyś kapitalistom swe życie – wpadł mu w słowo Miller. – Ludzie muszą produkować dla ludzi.

Andy z burmistrzem wymienili spojrzenia.

– Posłuchaj, Wolnourodzony – powiedział Andy. – Nie myśl, że zdobyłeś punkt. Nie chcemy takich gadżetów. To nieopłacalne projektować i wytwarzać, aby otrzymać więcej, niż mamy, podczas gdy na wiosnę są dziewczyny do kochania, a jesienią polowanie na jelenie. I kiedy pracujemy, pracujemy raczej dla siebie niż dla kogoś jeszcze, jakbyś go nazwał, kapitalistą czy ludem. Teraz chodźmy usiąść i nie przejmujmy się tym wszystkim przed obiadem.

Wciśnięty pomiędzy nogi ludzi, słyszałem, jak Si Johansen mruczy do Josepha Arakeliana:

– Nie potrzebuję tego. Co byśmy robili z tymi maszynami? Gdyby jakaś cholerna maszyna produkowała za mnie meble, to co miałbym zrobić z rękami?

Joseph wzniosł ramiona.

– Walnij mnie, Si, ale ja osobiście trafiłbym do czubków, gdybym zobaczył dwóch ludzi noszących identyczne ubranie.

– To mogłoby być całkiem fajne – powiedział Red – mieć taki samochód, jaki widziałem w magazynach Wujaszka Jima.

– Gdzie byś nim jeździł? – spytał Bob.

– Gadanie... Nie wiem, może do Kanady. Ale z drugiej strony, mogę tam jechać za każdym razem, kiedy powiem tacie, że sprawdzam fruwacza.

– Pewnie – powiedział Bob – a jeżeli masz mniej niż sto sześćdziesiąt kilometrów na liczniku, dostaniesz konia, prawda? Kto by chciał jakiegoś starego grata?

Prześliznąłem się jak wąż przez tłum w stronę placu, gdzie kobiety zastawiały stoły i przynosiły potrawy na bankiet. Tłum był tak gęsty wokół miejsca, gdzie stał nasz gość, że nie mogłem docisnąć się blisko. Razem ze Śmierdzielem pobiegliśmy do drzewa, ogromnego, szarego dębu, i podczołgaliśmy się wzdłuż konaru, aż zawiśliśmy akurat nad głową Millera. Była goła i pokryta wątrobowymi plamami. Trzęsa się na jego cienkiej szyi, a jej właściciel kręcił nią

wokoło i mówił coś piskliwym głosem.

Andy i burmistrz siedzieli obok niego, pykając z fajek. Był też Wujaszek Jim; Ludzie pozwolili mu przyjść, aby móc się przysłuchiwać toczącej się dyskusji. Było to bezmyślne, ale skąd mogliśmy to wiedzieć? Wujaszek był zawsze łagodny, a przecież nigdy nie mieliśmy w miasteczku dwóch szaleńców.

– ...siły reakcji – mówił towarzysz Miller. – Nie jestem całkowicie pewny, jakie siły spowodowały rozpad Związku Sowieckiego. Wiadomości trudno stamtąd docierały, niezbyt wiele było w telewizji. No tak, muszę stwierdzić, że jednak wątpię, aby kapitaliści czy Chińczycy stali za tą tragedią. Obydwa te systemy odeszły za daleko.

– Co więc stało się w Rosji? – zaciekał się Ed Mulligan. Był w mieście doradcą psychologicznym. Wcześniej wykładał w Menninger, po tym jak został wyrzucony z Kansas.

– Myślę, że faktycznym powodem było to, że Komuniści nie wpuścili tam nigdy wolności. Z tego, co czytałem, tak wynika.

– Co nazywasz wolnością? – szyderczo zapytał Miller. – Osobiście podejrzewam, że rewizjonizm przejął władzę. Wcześniej dopuszczono do korupcji. Cały biedny kraj był gwałcony na konto walki z kontrrewolucją.

– Teraz tak już nie jest – powiedział Wujaszek. – Ja również śledziłem wiadomości. Komuniści w Rosji byli skorumpowani i brali łapówki na własną rękę. Tyrani zawsze tak robią. Nie przewidzieli, jakie zmiany przyniosą nowe technologie, i wprowadzili je jak ślepy. Szybko runęła żelazna kurtyna. Nikt już nie chciał ich słuchać.

– Całkiem nieźle, Jim – powiedział Andy. Zobaczył moją twarz pomiędzy gałązkami i mrugnął do mnie. – Było nieco okrucieństwa i przemocy, a przełom był bardziej skomplikowany, niż sądzisz, ale tak się to, z grubsza, odbyło. Kłopot w tym, że nie zauważasz, że zdarzyło się to także w USA.

Miller potrząsnął swą jakby zasuszoną głową.

– Marks dowiódł, że postęp technologiczny oznacza nieunikniony rozwój aż do socjalizmu – powiedział. – No, wszystko zostało przyhamowane, ale ten dzień nadchodzi.

– Może i masz rację co do tego ostatniego momentu – powiedział Andy. – Ale widzisz, nauka i społeczeństwo poszły już dalej. Chyba mogę dać ci proste wyjaśnienie.

– Jak sobie chcesz – zrzędlawie mruknął Miller.

– W porządku. Przystudiowałem wnikliwie dzieje tego okresu. Technika umożliwiła to, że kilka osób i niewiele hektarów ziemi mogło wyżywić cały kraj, a miliony hektarów leżały odłogiem. Mogłeś je kupić za fistaszka. W tym czasie miasta stały się nadmiernie obłożone podatkami, kulało ich zarządzanie i zakorkowały się własnym ruchem ulicznym. Jednocześnie działały tanie elektrownie słoneczne i akumulatory o wielkiej wydajności. To pozwoliło ludziom zaspokajać swe własne potrzeby, nie tracąc zdrowia w pracy dla innych. Pozwoliło to również

płacić inflacyjne ceny, których domagała się ekonomia, podczas gdy każdy mały interes był dotowany i chroniony przed zbyt wysokimi podatkami. Również, żyjąc w nowym stylu, ludzie ograniczyli swe dochody pieniężne do punktu, od którego nie musieli właściwie płacić żadnych podatków. Faktycznie żyli lepiej, pracując krócej. Coraz więcej ludzi uciekało i osiedlało się w małomiasteczkowych społecznościach. Mniej konsumowali, co spowodowało wielką recesję i doprowadziło do tego, że ciągle coraz więcej ludzi dawało sobie radę samemu. Wtedy wielki interes i organizacje pracownicze zauważyły, co się stało, i próbowały wprowadzić przepisy przeciwko temu, co nazywali nie amerykańskimi praktykami. Było już jednak za późno. Nikt się tym nie interesował. Widzisz, wszystko stało się stopniowo, ale stało się. I myślę, że tak jest lepiej.

– Paradne! – zawołał Miller. – Jak to przewidział Marks dwieście lat temu, kapitalizm zbankrutował, ale jego demoralizujący wpływ był ciągle tak potężny, że zamiast przejść do kolektywizmu, cofnęliście się, by stać się wieśniakami.

– Proszę – powiedział burmistrz. Zauważyłem, że jest zirytowany i pomyślałem, że „wieśniacy” nie byli Wolnourodzonymi. – Może teraz coś zaśpiewamy? – zaproponował.

Chociaż nie było takiej potrzeby, uprzejmość wymagała, aby poprosić Millera, żeby wystąpił jako pierwszy. Gość wstał i drżącym głosem zaśpiewał coś o facecie, który nazywał się Joe Hill. Miało to niezłą melodię, ale nawet dziewięcioletni chłopiec, jakim byłem, wiedział, że to kiepska poezja. Dziecinne, męskie rymy a-b-c-b i nigdzie żadnej metafory. Poza tym kogo obchodziło, co przydarzyło się jakiemuś włóczędze, gdy mieliśmy swoje myśliwskie pieśni i opowiadania o badaczach międzyplanetarnych. Zadowolony byłem, gdy Andy wstał i zaprezentował nam kawałek męskiej muzyki.

Podano lunch. Ześliznąłem się z drzewa i znalazłem wolne miejsce obok nich. Towarzysz Miller i Wujaszek Jim spoglądali na siebie poprzez stół, ale nic już nie powiedzieli aż do końca posiłku w kilka godzin później. Ludzie stracili jakoś zainteresowanie obcym, gdy dowiedzieli się, że spędził wiele czasu w wymarłym mieście i przyszedł do nas, żeby potańczyć i pograć w karty. Andy krążył wokół nie dlatego, że na coś czekał, ale dlatego, że był przecież przewodnikiem Millera.

Komunista westchnął i wstał.

– Byliście dla mnie mili – powiedział.

– Myślałem, że jesteśmy bandą kapitalistów – przygryzł mu Wujaszek Jim.

– Człowiek. To jest to, co mnie interesuje. Gdziekolwiek żyje i w jakichkolwiek warunkach – powiedział Miller.

Wujaszek Jim chwycił swą laskę, podnosząc jednocześnie głos:

– Człowiek! Ty ośmielasz się dbać o człowieka. Ty, który go zabijałeś i zniewalałeś?

– Och! Przestań Jim – zniecierpliwiał się Andy. – To było dawno temu. Kto myśli o tak

odległych czasach?

– Ja! – Wujaszek zaczął krzyczeć. Spojrzał na Millera i ruszył w jego stronę. Ręce miał wyciągnięte, palce rozcapierzone.

– Oni zabili mojego ojca. Za ideały zginęło dziesiątki tysięcy ludzi. I ciebie to nie obchodzi! Cały ten cholerny kraj stracił swoje jaja!

Stałem pod drzewem zjedną ręką wspartą, dla wygody, o jego pień. Byłem nieco zaniepokojony, gdyż nic nie rozumiałem. Z pewnością Andy, który był wysłany przez Fundację Badań Zjednoczonych Miast w długą niebezpieczną drogę na Marsa, nie był tchórzem. Z pewnością mój ojciec, uprzejmy i pełen poczucia humoru mężczyzna, nie stracił odwagi. Co to było, czego przypuszczalnie chcieliśmy?

– Ty liżący buty, czołgający się lokaju! – wrzasnął Miller – To ty byłeś tym, który wymordował robotników i przywiązał ich synów do swoich durnych związków... i... i... co z meksykańskimi peonami?

Andy usiłował wejść pomiędzy nich. Miller walnął go kijem w głowę. Andy krwawił, więc cofnął się o krok. Wyglądał żałośnie. Starzy szaleńcy krzyczeli na siebie. Nie można było użyć siły wobec nich; można było ich pokaleczyć.

W tym właśnie momencie Andy wpadł na pomysł.

– W porządku, Wolnourodzony – powiedział szybko. – W porządku. Wysłuchamy cię. Możesz wystąpić dziś wieczorem. Tutaj w ratuszu. Wszyscy przyjdą i...

Było już jednak za późno. Wujaszek Jim i towarzysz Miller już walczyli. Zwarli się w uścisku, a oczy ich wypełniły się łzami, ponieważ obaj nie mieli siły, by zniszczyć to, co tak nienawidzili. Teraz myślę, że ta nienawiść wyrosła z zawiedzionej miłości. Obydwaj kochali nas w dziwny, okaleczony sposób, a nas to nie obchodziło.

Andy zabrał kilka osób. Rozdzielono walczących i zaprowadzono do różnych domów, aby odpoczęli. Kiedy doktor Simmons wpadł do Wujaszka Jima kilka godzin później, stwierdził, że ten uciekł. Doktor pobiegł do Komunisty, ale tego także nie było.

Dowiedziałem się potem wszystkiego, ale wtedy poszedłem grać w berka z innymi dziećmi. Bawiliśmy się tam, gdzie rzeka jest chłodna i ciemna. W tej samej rzece, następnego dnia rano, konstabl Thompson znalazł Komunistę i Republikanina. Nikt nie wiedział, jak to się stało. Musieli spotkać się koło drzew sami, w mroku, kiedy rozpalono ogniska i starsi bawili się przy nich, a zakochani odeszli do lasu. Tego tylko byliśmy pewni. Wyprawiliśmy im skromny pogrzeb. Przez tydzień było o czym opowiadać w miasteczku. Właściwie to cały region Ohio słyszał o tym. Ale wkrótce rozmowy ustały i starzy szaleńcy leżeli zapomniani. Stało się to w roku, kiedy Braterstwo zdobyło władzę na północy, a ludzie byli ciekawi, co z tego wyniknie. Dowiedzieli się następnej wiosny. Zostały zawarte przymierza i wojna przetoczyła się przez wzgórza. Banda Braterstwa, jak to zapowiedziała, wycięła na sprzedaż wszystkie drzewa i nie

posadziła nowych.

Takie zło nie może pozostać bez kary.

*Tłumaczył Waldemar W. Pietraszek*